

Warszawa, 30 lipca [1982]

[...] Co może powstać z bulgotania mnóstwa pomysłów, projektów, „wzorów” (muzycznych!) w głowie? Bogate to czy ubogie? – Podobny jest proces z zestrojeniem myśli ze słowami, z wyrażeniem myśli; wszystko jedno, czy o Piłsudskim, czy o czym innym: o Panu Bogu, ludziach, o czasie, o sytuacji polskiej. Podobnie z opowiadaniem sceny, rozmowy, wydarzenia, przeżycia. Ale w muzyce materiał jest inny. Pieśni Miłosza, Herberta, dwa psalmy, drzewo żywota – mógłbym każde pisać, czyli komponować. A u Mistrzów, jak to przebiegał (naturalnie?! ten proces, w ich bogatej inwencji; i dzieła małe, wielkie, zaraz mi przychodzą na myśl Schubert, Beethoven, kwartety, sonaty... Wcielić zamiar melodyjny na słowach, słowa wykonać w muzyce... Ach, tak. Szukaj, psim węchem; nie szukaj, odkryj – to, co tylko może być WYDOBYTE. Podkreśl, najprościej. Skupienie potrzebne do tego, może podobne do skupienia myśli matematycznej, a może właśnie całkiem innej?

Za dużo, za prędko, za późno; krótkie ZAWSZE...

Z panicznego nastroju zrobić spokojne skupienie. Spokojne i maksymalnie intensywne.

I zawsze „wedle stawu grobla”! U płytkiego czy u głębokiego stawu.

1 sierpnia [1982]

[...] Polska przesiąknięta jest przekonaniem o jakimś swoim straszliwym losie! Doznaję uczuć, wrażeń, że to bezsens i absurd. Niedopasowanie aspiracji do rzeczywistości? Upór, z jakim Polacy nie chcą przyjmować (do wiadomości!) rzeczywistości?! Ale zaraz pytanie: co jest rzeczywistością? I jak ma wyglądać zgoda lub niezgoda na nią? – Człowiek jest stworzeniem stawiającym od paru tysięcy (znanych nam) lat ciągle pytania. Nie komentuję sprawy ODPOWIEDZI na te pytania.

Gdy byłem mały, sądziłem, że istnieją jakieś – niezbite! – dowody na istnienie Pana Boga. Że, gdy dorosnę, to i do tych dowodów dorosnę, jakieś 4=4 – coś takiego.

Ha, dużo było takich rzeczy, o których myślałem, że się dowiem, gdy będę DUŻY. Pamiętam to. Teraz mam 75 lat. I tylko namnożyło się tych pytań. A odpowiedzi – nie. Żadnych. Milczenie – i tylko szukam ciszy. I żeby ona nie była głuchą ciszą, ale inną: ciszą ziemską, zanim się stanie nieziemską. I tyle. [...]

*Warszawa, 10 lipca [1983]*

Organy ciała są zaprogramowane „na” różne terminy. Mogą funkcjonować i do stu lat. Ale zęby – gdzieś do 50, 60 lat. Czy nie powinniśmy umierać „razem z utratą zębów”? Jednakże starcy bezzębni, choćby tylko w malarstwie, albo mumie, żyli dłużej niż ich zęby. Przeciętny wiek ludzki przedłuża się.

Czy warto jednak, żeby przeciętni ludzie żyli „przeciętnie długo”, byli starzy przez 30, 40 i 50 lat? Po co? Dlaczego? A pomyśleć, że „te głupie ludzie” łamią sobie głowę, żeby żyć 120 lat, czyli – być przez pół życia starymi!

Wszystko jest tak nielogiczne w postępowaniach i dążeniach człowieka. Ta – przez setki wieków – prymitywność i tych parę tysięcy lat cywilizacji, która od czterystu, dwustu i stu lat strzeliła – w jakim kierunku – technicznym i technologicznym, z lokomotywą, samochodem, samolotem, radiem, komputerem, tworzeniem środków ułatwiających życie, odbierających pracę, tworzących potrzeby; powracam tu do zmyślonej przeze mnie, niby paradoksalnej myśli: kto ma wszystko, potrzebuje wiele – wszystkiego; kto nie ma nic, nie potrzebuje niczego. Obywa się... Doświadczyłem tego przecie osobiście w latach 1939-1945. No, a potem, różnie bywało...

Teraz dominuje u mnie gwałtowna potrzeba metronomu, który zgubiłem, a jest mi potrzebny. No i zwykła potrzeba MIEJSCA i OBSŁUGI. Żeby mi ktoś ścielił łóżko – nie cierpię tego. I mieć duży stół, duży pokój... Co za drobiazgi!! Zamknąć WSZYSTKO w duszy jest trudno, gdy jest – po prostu – za ciasno!

Ale te nieszczęścia mnie nie unicestwiają, choć bardzo mi PRZESZKADZAJĄ. (Mieć dwa pokoje!!). Jednakże umrę „jakoś” i bez tego, oby bez zbyt dużych, bezsilnych i kłopotliwych (dla drugich?) słabości. Jestem zdecydowany, choćby i na wspólną salę szpitalną, w której kiepska pielęgniarka zostawi mnie ze źle podłożoną poduszką pod głową.

Bogowie – bo wolę was od obojętnego monoteistycznego ducha – bogowie, dajcie mi ufność, pomoc, w chwilach, gdy już będę całkiem do niczego – fizycznie, moralnie, duchowo... Ale wydaje mi się, że lubiłbym słyszeć psalmy i hymny łacińskie, takie, jakie słyszałem od małego. *In paradisum deducant te angeli...* Obyczaj, rytuał. Mądrość, jaką stworzyły nasze chrześcijańskie wieki.

Takie myśli – zawsze koło trzeciej, czwartej rano. I święty Antoni – przypadkowy, od stryja Jerzego, przed moimi oczami (gdy je otwieram), na zielonej, starej, buczackiej makacie. I wszystko, co widzę, pamiętam, co umiera wraz ze mną. I moje nienapisane jeszcze *Kyrie*, i nawet mój Piłsudski, którego postać związana jest z życiem. Anachroniczna? Nie. Polska. Taka, jaką miałem w tym kraju, przez wszystkie lata, od 11 lat, gdy powstawała ta Polska, jaka była. Jak może – nawet – i jest jeszcze, dalej i ciągle.

Moja kościelna świeca pali się – nie lubię elektryki. Przez dwadzieścia lat żyłem w świetle lamp naftowych, świec, ognia na kominku, ciepłych pieców, o które grzaliśmy się, przy piecach kaflowych, w dużym salonie wiśniowskim, przy jednej czy dwóch lampach naftowych, [oparci] plecami o te kafle, ciepłe, w zimnawych salonach. Miejsce i służba. Czas bliższy XVIII wieku niż przepaść między czasem dzisiejszym a tym, co było u nas jeszcze do 1939 roku...

Tempo, któremu staram się JAKOŚ nadać, świat, który biegnie, a tu się zatrzymuje, jakby stanął w komunistycznym, rosyjskim bezwładzie i beznadziejnej perspektywie. Kościół? Ha – ten Kościół... Czy można to nazwać walką „dobrego ze złem”? Nawet i to nie. Ten naród – w jakim stopniu się broni? Bezwładem? Opozycją? Pasywnością? Szaleństwem, które zanika, strzela, upiera się? A świat. Co na to świat? Ma to w dupie? Reaguje? Wyzyskuje nas? Kto te paradoksy widzi jasno, planuje coś pozytywnego?

Zamknąć na to oczy. Zrobić wybór Piłsudskiego, napisać jeszcze moją *Mszę*...! Zamknąć oczy. Przestać żyć. Dosyć tego życia... [...]

Warszawa, 1 kwietnia [1984]

[...] Zostałem tu złamaną srebrną łyżeczkę prababki Józefy z Moszyńskich Szembekowej, z bardzo już zatartym herbem Moszyńskich i Szembeków.

Ile było tych srebrnych kompletów w Wiśniowej – po Moszyńskich, Szembekach, Wodzickich, Tarnowskich i Mycielskich? Hanka zapakowała porcelany z XVIII i XIX wieku, saskie, sewrskie, Korce, Wiednie, Baranówki – lichtarze, grupy, figurki – do skrzyń, które leśniczy Szymon Niemiec zakopał u siebie, pod lasem. Były tego całe serwisy i mnóstwo zebranych przez lata i pokolenia przedmiotów. Gdy weszli w 1945 roku Moskale, wykopali wszystko i potłukli, ze złości, że to nie były złote skarby, ale jakieś czerepy. Widziałem już pierwszy akt tego w 1915 roku, gdy Rosjanie opuścili Galicję. Wydobywałem wtedy z rowów strzeleckich archiwa, którymi żołnierze ścielili sobie te rowy w ogrodzie – dokumenty z XVII, XVIII i XIX wieku, listy Stanisława Augusta, Brühla, Kościuszki, dyplomy napoleońskie, listy i pamiątki prababek, z wsuniętymi pod okładkę „włosami Kościuszki”, pamiętam napis: „*Les cheveux de Kościuszko*” – oczywiście po francusku. Miałem 8 lat. Dużo tego odnalazłem – jakieś stare testamenty i inwentarze z pałacu w Chocieszewicach, aż po dagerotypy rodzinnych powstańców, wuja Jula Tarnowskiego, który zginął w 1863 roku. Płacze mi się to w pamięci – jego fotografia i fotografia arcybiskupa mohylowskiego Szembeka, brata ojca Mamy. Pani Orzechowska mówiła, że pierścień arcybiskupa czeka na mnie – była przekonana, że będę biskupem, tymczasem mnie się podobał jej syn, Staszek, który został księdzem i źle zakończył tę „karierę”. Nomen omen – ksiądz Stanisław Orzechowski. Co się z nim stało? Zbyszek Pieniążek, który na moich oczach wyszedł z obozu w przebraniu SS-mana, zginął pod Tobrukiem. Miałem z nim uciekać... Widzę, jak idzie w tym przebraniu przez obóz i Niemcy mu salutują. Ta polska bezczelność!! [...]

Złamana łyżeczka leży: cały świat, mój świat? Kręci się: ona jest w środku? Co jest w środku? Co na zewnątrz? W numerze „Figara” i „Paris Matcha” kosmonauta kręci się wokół naszej planety, sam, na czarnym tle kosmosu, ze srebrzystym, krągłym kontynentem z chmur, na dole, na górze, ukośnie. Gagarin (bodajże Gagarin?) powiedział, że Pana Boga nie widział. Ja też go nie widzę, ale mogę powiedzieć, że on jest, skoro jestem, skoro kosmos i łyżeczka tkwią w umyśle, a więc w twórczej możliwości, której związki z czasem i przestrzenią są niepojęte, nieobjęte materią, niezrozumiałe, od czasu, gdy coś się rozszerzyło w świadomości – (świadomości?) – człowieka.

Warszawa, 25 grudnia [1985]

Dziś u Henia Krz[eczkowskiego]. Już ledwo słyszę, co mówi. Ale usłyszałem: „To jest bardzo męczące”. A potem, dziwne: „Zwolnij mnie” i coś jakby „Och”.

Na dobrą sprawę interesują mnie naprawdę już tylko dwie rzeczy: moja własna muzyka i śmierć. Śmierć, to znaczy wiara czy niewiara. A w stosunku do wiary wątpliwość, czy prawdziwą wiara istnieje? Jest to tylko samoobrona człowieka, a w praktyce – rytuał. Należy mówić WIERZĘ, należy praktykować, składać koguta w ofierze Eskulapowi. Oto mądrość Sokratesa. Nie należy odcinać człowieka od Boga. Od pojęcia Boga.

Gdy jestem przy tym, co nazwać trzeba śmiercią katolicką, to nasuwa mi się głupia myśl „Zobaczysz, zaraz zobaczysz, że tam nic nie ma”.

Oczywiście, skoro nic nie ma, to i niczego nie zobaczę. Ale życie wierzącego powinno być lepsze od niewierzącego. Zwłaszcza w ubóstwie, w nieszczęściu. Życie obojętnego może być znośne czy bezmyślne. Myślę, że i poczucie szczęścia jest związane z bezmyślnością. Ale prawdziwy racjonalista czy może być bezmyślnie szczęśliwy?

Jeżeli losy świata i ludzi są mu obojętne, to tak.

Warszawa, [30 października 1986]

[...] Mama czytała wieczorami starszym braciom różne powieści, wiersze – polskie i francuskie. Ja słuchałem tego – tak mały – że nieraz siedziałem pod stołem. Pamiętam początek *Les Misérables* Victora Hugo – (od tego czasu nigdy tej książki nie odczytałem!). Chyba na początku Jean Valjean okrada jakiegoś biednego biskupa. Kradnie mu srebro. Zapytałem wtedy mamę – czy ten biskup był taki biedny, skoro miał srebro stołowe. Mama zamyśliła się przez sekundę i powiedziała: „Tylko bardzo biedni ludzie nie mają srebra”.

Mam trzy srebrne łyżki do zupy, trzy do herbaty i trzy do czarnej kawy. Ile razy ich używam, tyle razy mi się te słowa Mamy przypominają. I jej tekst pisany w 1944 i 1945 roku, wart zapamiętania – gdy się znalazła sama w

pokoiku w Krakowie. U Liechtensteinów też nieraz myślę o tych sprawach – życie tam przypomina mi nasze życie – chociaż nie mieliśmy trzydziestu Rubensów, van Dycków ani zamków od Szwajcarii po Austrię i Morawy (gdzie im te zamki skonfiskowano).

Wyróżnikiem – jak to się dzisiaj mówi – arystokracji, podobnie jak i szlachty, podobnie jak i innych „stanów”, było poczucie, że się jest innym niż inni. Mówiło się „my” i „nasi”, co było nadrzędne w stosunku do jednostki. W tym sensie był to klan polski, ale i międzynarodowy.

Kilkanaście czy kilkadziesiąt rodzin „stąd” porozumiewało się łatwo z rodzinami w Austrii, Rosji, Włoszech, Francji, Anglii i tak dalej. Wołkoński czy Naryszkin, Lanckoroński, Liechtenstein, Zamoyski albo Strozzi należeli do „naszych”, nawet gdy się stroniło od Moskali czy Niemców. Uderzające to jest w pamiętniku pani Agi Potockiej, teściowej mego brata. Świat, ograniczony do „swoich”, w Peczarze, Berlinie, Petersburgu, Warszawie – w Krakowie odczuwała ciasnotę, ze Szlakiem Tarnowskich, [pałacem pod] „Baranami” krzeszowskich Potockich, ale pełniła swoją funkcję, zapraszając do pałacu na rogu Rynku i Brackiej „wszystkich”. Tę funkcję uważała za swoją misję – gromadząc świat uniwersytecki, „*le monde et la ville*” [nasze towarzystwo i to z miasta] u siebie.

To wszystko mnie nudziło. Uciekałem na Montparnasse – „mój świat” uważał to za coś oryginalnego – w warszawskich salonach mówiono o mnie „ten muzyk”. Potem uznano mnie za osobistość raczej skandaliczną – ale wtedy wybuchła wojna i to wszystko runęło, poszło w zapomnienie. Powstała nawet wokół mnie jakaś aura szacunku, szlachetności czy – bo ja wiem, jak to nazwać. „Nie myśl o tym”, jak mi to babcia powiedziała, przeszło 70 lat temu. [...]

Warszawa, 24 stycznia [1987]

[...] Opuszczając świat, nie mogę nie myśleć o tym, co jest i o tym, czego nie ma. Zamknięty w mojej osobowości stoję przed niewyobrażalną nicością. Bez lęku, ale w samotności wobec wszystkiego, co powszechnie i potocznie wiemy, co nam powiedziano, o kosmosie i miejscu naszego świata i galaktyki, której jesteśmy mikrocząstką. W tej perspektywie człowiek znalazł

się w nowej sytuacji niedawno, od czasów Kopernika, Newtona i wszystkich współczesnych mi już Einsteinów. A jednocześnie zbłąkane metafizyka i filozofia, religia i instynktowna, ludzka świadomość i podświadomość szuka jeszcze ratunku przed kapitulacją instynktów (!) wobec tak zwanego rozumu, zawsze ograniczonego i coraz bardziej ograniczonego w obliczu tego, czego się dowiadujemy i co uważamy za niewzruszoną wiedzę, ratio, dowód istnienia. Istnienia? Zagęszczenie wiedzy prowadzi do bezsilności wobec najprostszych problemów, jak zorganizować ten rój człowieka na planecie. Obieg informacji coraz bardziej tę bezsilność ilustruje. Zabiegi pszczół, gdy w ulu zginęła królowa. [...]